Obrzeżyny — Ruben9

Od autora: Horror którego akcja dzieje się w przeszłości. Z dreszczykiem.

Obrzeżyny

Pogodny wieczór zbliżał się małymi krokami, szum wiatru i szeleszczące liście tworzyły coś w rodzaju pieśni, pieśni śpiewanej niegdyś przez wędrowców przemierzających odstępy najodleglejszych zakamarków świata. W oddali od czasu do czasu rozbrzmiewały głosy leśnych zwierząt. Całą harmonię przerywały równomierne tupoty końskich kopyt.

Posłańcy dosiadający swoich rumaków, tworzyli ze zwierzęciem jedną całość. Byli to ludzie obyci z trudami podróży, niejednokrotnie nocujący w przedziwnych miejscach. Broń w pogotowiu, otwarte oczy i uszy oraz zachowanie zimnej krwi, pocztowcy posiadali wszystkie te cechy.

Tego dnia Tadeusz miał specjalne zadanie. Z samego świtu wyruszył z Przasnysza do Ciechanowa, musiał dostarczyć ważne dokumenty do zamku książąt mazowieckich. Droga wiodła przez lasy i pustkowia. Jeśli pogoda była dobra, jeździec tej klasy powinien pokonać dystans w trzy godziny. Jak przystało na fachowca z tej dziedziny Witkowski, tak brzmiało jego rodowe nazwisko, wykonał zadanie z należytą pieczołowitością i w godzinach popołudniowych był gotowy do powrotu.

Jednak jego charakter, na który często narzekała żona, kolejny raz wziął górę nad obowiązkiem. Pan Witkowski, a był on szlachcicem nie posiadającym własnych dóbr ziemskich, zamiast w drogę powrotną udał się do pobliskiej karczmy o głośnej nazwie „Słoneczko”. Tam jak to na hulakę przystało zabawił kilka godzin.

Wieczór nastał szybko, zaś Tadeusz pomimo rad, jakie dawali mu jego kamraci postanowił ruszyć w drogę powrotną. Dobry humor oraz poczucie spełnionego obowiązku towarzyszyły Tadeuszowi podczas powrotu. Znał drogę jak własną kieszeń. Przeczucie od samego rana podpowiadało mu, że to jest jego szczęśliwy dzień. Z każdą upływającą minutą, bukłak wina jaki wisiał przywiązany do końskiego siodła, stawał się coraz lżejszy, zaś humor jak zawsze dopisywał Witkosiowi – tak nazywali go przyjaciele.

Jego grubiańskie a nawet ordynarne śpiewy unosiły się po całej okolicy, przyciągały słuch wszystkich żywych stworzeń. Piękne, bezchmurne niebo, miliony gwiazd, wszystko to nastrajało pozytywnie pana Tadeusza. Cóż mógł potrzebować w danej chwili? Jak każdy z łatwością potrafi się domyśleć, towarzystwa.

W oddali usłyszał tupot końskich kopyt, równomierny, miarowy, jednak zupełnie nie podobny do tych naszych mazowieckich, jak to określał Witkowski.

- Z pewnością to jakiś Rusin, albo Litwin - pomyślał sobie.

Oni zawsze wyróżniali się spośród innych pocztowców, podkowy ich koni były lżejsze, wydawały dźwięki połączone z cichym szelestem.

- Szkoda jedynie, iż bukłak jest coraz lżejszy - powiedział Tadeusz. Następnie uśmiechnął się pokazując zęby, tak jak zawsze to czynił.

W pewnym momencie przyszła mu do głowy pewna myśl. Rusin, Litwin, tutaj, o tej porze. W jednej chwili oprzytomniał, chwycił mocno cugle. Nasłuchiwał. Dźwięki jakie teraz dochodziły do jego uszu, zaczynały wzbudzać w nim poruszenie i obawę.

Witkowski był szlachcicem, więc nie należał do tych „bojących", jak sam często mawiał na mieszczan i chłopów. Jednak odgłosy w zastraszająco szybkim tempie stawały się coraz bardziej słyszalne. Ponownie mocno chwycił cugle, ujrzał w niewielkiej odległości od siebie rysy postaci, dostrzegł jedynie, jak przypuszczał jeźdźca w czarnych szatach, okrytego połyskującą peleryną. Odległość pomiędzy nimi wynosiła około kilometra. Stojąc na szczycie góry Tadeusz starał zorientować się czy traktem nie podąża więcej osób.

Po lewej stronie drogi dostrzegł ruiny starego cmentarza, pamiętającego jeszcze czasy wypraw rycerzy zakonu krzyżackiego na ziemie północnego Mazowsza. Kilku pocztowców przestrzegało go przed tym miejscem. Doradzali mu omijanie, go zarówno w dzień jak i w nocy. Miejscowi chłopi opowiadali o postaciach, jakie pojawiały się zarówno na samym cmentarzu jak i wokół niego. Szczególnie jesienią i wczesną wiosną, działy się tam sceny mrożące krew w żyłach. Zapowiedzią często była gwałtowna zmiana pogody. W przeciągu kilku minut zrywał się potężny wiatr, powstawały trąby powietrzne mające po kilkanaście metrów wysokości. Następnie wyłaniały się z nich postaci, przypominające rycerzy w białych szatach.

Z lasu przylegającego do lewej części cmentarza, pojawiali się jeźdźcy w czarnych strojach. Narzucone na nich peleryny upodabniały ich do ptaków, które za chwilę uniosą się w górę, żeby łatwiej zaatakować swoją zdobycz. Następowało starcie mrocznych rycerzy, podczas którego było słychać identyczne odgłosy, jakie unoszą się nad polem bitewnym. Przerażające, sprawiały wrażenie wydobywających się z najgłębszych czeluści Ziemi. Wycie, końskie rżenie, ludzkie krzyki i szydercze śmiechy, robiły wrażenie pochodzących z gardeł potępionych istot.

Mieszkający w pobliżu chłopi omijali ten cmentarz wielkim łukiem. W związku z tym popadał w coraz większą ruinę. Zapadłe groby, poniszczone pomniki odsłaniały drewniane trumny, ukazując ich wygląd. Grobowce splądrowane przez złodziei, którzy wynieśli wszystko co miało jakąś wartość. Wygląd cmentarza sprawiał wrażenie miejsca gdzie zło zadomowiło się na dobre. Witkowski pomyślał, że jeździec zakończy podróż na cmentarzu. Jednak ominął go z prawej strony i z dużą szybkością zbliżał się do Tadeusza, odległość malała z każdą sekundą. Wszystko w jednej chwili stało się dla niego wielkim koszmarem, czymś niewyobrażalnym.

- Może to tylko nadmiar alkoholu we krwi – powiedział.

Ruszył, galopujący koń niósł go drogą pośród leśnych ostępów. Rozumowanie Witkowskiego było proste, postanowił w jak najszybszy i najprostszy sposób zgubić przybysza. Jednak ten, cały czas podążał za nim. Tupot końskich kopyt jaki dochodził do uszu Tadeusza, przypominał mu bicie w bębny, odgłosy rozchodziły się po całym lesie, coraz głośniejsze i coraz bliższe. Czuł je, były tuż, tuż. Miał wrażenie że stoi w miejscu, obraz zatrzymał się również w miejscu. Wszędzie takie same drzewa, identyczne. Tysiące bliźniaczych drzew i krzewów, które tworzyły swoisty podkład muzyczny pod ten piekielny tupot.

- Nie, to nie jest koń, ale jak nie koń, to co u diabła to może być? – zaklął.

Siła woli sprawiła, że obejrzał się za siebie, dostrzegł postać poruszającą się na dwóch nogach, zaś wcześniej widziana peleryna była zwykłym odzieniem jakie nosił każdy zaściankowy szlachcic. Spod niej

wystawały nogi zakończone końskimi kopytami i nienaturalnie szerokim odstępem pomiędzy nimi. Istota ta poruszała się w sposób nienaturalny, lekko odbijając się od podłoża, co pozwalało jej na szybsze pokonywanie i mniej problemowe pokonywanie dystansu. Nie grzązł w piasku jak koń i niebywale szybko zbliżał się do Tadeusza, żadne próby poganiania rumaka nie przynosiły oczekiwanego skutku. Strach i przerażenie zaczęły wbijać się w umysł szlachetki.

- Cóż mam czynić? – pomyślał.

Niespodziewanie, ujrzał w niewielkiej odległości pośród drzew, ognisty płomień.

- To może być jedyna szansa na uwolnienie się od niechcianego natręta – pomyślał.

Mocniej podciągnął końskie cugle, zaś ostrogi przedniej marki wykonywały swoją rolę. W kilka chwil później znalazł się na dużej polanie, porośniętej trawą sięgającą kolan. Na samym środku ujrzał, oświetloną chatkę ze wszystkich stron bardzo jaskrawym światłem. Patrząc na nią, nasz bohater odniósł wrażenie, że światło jest koloru błękitnego, może nawet granatowego. Drzwi były uchylone, zaś ze środka dobiegał bełkot, kogoś kto użala się nad swoim losem. Dziwne pojękiwania, przeciąganie wyrazów, stwarzały wrażenie kakofonii dźwięków.

– Do diabła! – zaklął Witkowski.

W co ja się wpakowałem. Źle mi było biesiadować i zabawiać się z karczmianymi dziewkami. Cóż robić, z jednej strony tajemnicza chata z drugiej przybysz, raczej nie nastawiony przyjaźnie - pomyślał.

Szybko zeskoczył z konia, przywiązał go naprędce do drzewa i słysząc za plecami donośny stukot kopyt, wślizgnął się przez uchylone drewniane drzwi do środka. Jednoizbowa chata była oświetlona lampą naftową, stojącą na dużej drewnianej ławie. Obok ławy na ziemi znajdowała się trumna, wykonana z grubych i dobrze wyciosanych desek dębowych. Na jednym jej krańcu stała woda święcona, zaś na drugim kreda.

- Jeszcze tylko umarlaka mi tutaj brakuje - zaklął szlachetka.

Jednak prawdziwy powód niepokoju znajdował się na zewnątrz i z każdą mijającą sekundą zbliżał się. Z oddali dobiegało pojękiwanie i szlochanie, takie jakie możemy spotkać na pogrzebie, kiedy tracimy bliską osobę. Coraz głośniejsze dźwięki świadczyły o tym, że monstrum jest coraz bliżej. Nocna cisza potęgowała siłę odgłosów.

- Co to jest do cholery! - zaklął.

Wyjął z pochwy szablę, czekał.

- Jest, zbliża się – powiedział szeptem.

Usłyszał jedynie przeraźliwy koński skowyt, był tak krótki, iż Witkowski nie miał pewności czy już jego rumak wita się z przybyszem. Uczynił dwa susy i stanął koło drzwi, zaryglował je od wewnątrz.

- Żadna to zapora, te stare drzwi – pomyślał. Zaczął szybko rozglądać się po izbie. Ujrzał drewniany krzyż.

- Mocne dębowe drzewo powstrzyma na jakiś czas intruza - pomyślał.

Podbiegł do drzwi i podparł je krzyżem. Szukał dalej. Kompletna pustka, zdenerwowany i trochę zrezygnowany stanął w rogu chaty, czekał.

Ciemność i cisza zaczęły współgrać ze sobą. Szelest trawy, szum liści i te delikatne szuranie. Nieznajomy okrążał dom, czegoś szukał. Jaki miał w tym cel, co chciał osiągnąć? Myśli kłębiły się w głowie Tadeusza, nie dając mu spokoju. Czuł się jak zwierzyna w klatce, czekająca na swojego Pana i wybawiciela z cielesnych utrapień. Jest przed drzwiami, usłyszał stukanie. Wzrok skierował na najsłabszy punkt domu. Był przygotowany na to, że drzwi zostaną wyważone a postać wtargnie do izby w przeciągu kilku sekund. Znowu, delikatne pukanie.

- Mam nadzieję, iż to nie ta piekielna istota – powiedział cicho Tadeusz.

Zaczął zerkać w lewo i w prawo. Jego myśli przepełniał potworny strach. Nie czuł bólu, czuł niechęć do otaczającej go rzeczywistości i istot jakie go otaczały.

- Drogi kolego, wiem że mnie słyszysz - odezwał się głos o barwie spotykanej jedynie w snach. - Czy możesz mnie wpuścić do środka, czekam! - dodał. W jednej chwili wołanie przerodziło się w dziwnie szyderczy, piskliwy chichot.

Na zewnątrz panowała idealna cisza, którą zakłócał szelest trawy. Pocztowiec nasłuchiwał.

- Odgłos przybliżał się, czyżby był już w środku – pomyślał zaniepokojony Marek. Był przekonany, iż dobiega ze środka pomieszczenia. Spojrzał w stronę trumny. To z jej wnętrza wydobywał się piekielny śmiech. Zrobił dwa kroki w przód, nagle został uderzony potężną niewidzialną siłą, runął na ziemię. Usłyszał głos dobiegający z wnętrza trumny.

- Chętnie bym to uczynił, jednak jestem skrępowany, mam na sobie dwa potężne głazy, w żaden sposób nie mogę się z nich wyswobodzić! - krzyczał nieboszczyk. Jeden z nich krępuje moje nogi, drugi leży na mojej piersi. Czuję się bezsilny – zakończył.

- Postaraj się rozkołysać trumnę, niech spadną na ziemie krępujące cię potworności – dobiegł głos z zewnątrz.

Trumna zaczęła powoli lecz dość regularnie kołysać się. Naczynie z wodą przesuwało się w lewą stronę, milimetr po milimetrze zbliżało się do brzegu. Tadeusz obserwował całą sytuację z ogromnym przerażeniem. Postać z zewnątrz czując a może i widząc w jakiś niezrozumiały dla pocztowca sposób wnętrze domu, zaczęła dopingować swojego kompana. W pierwszej chwili zerwał się potężny wiatr, zaczęły łamać się gałęzie i uderzać w ledwo co stojąca chatkę. Zaryglowane drzwi zaczęły trzeszczeć, można było odnieść wrażenie, że zaraz wypadną z zawiasów i otworzą drogę dla znajdujących się na zewnątrz czarcich stworów. Pośród tych nieludzkich odgłosów można było usłyszeć wyraźne wskazówki dla nieboszczyka. Były to różnego rodzaju zaklęcia w językach nieznanych przez Witkowskiego. Wycie, piski i przerażający chichot dobiegały z zewnątrz. Z każdą minutą nasilały się, przeszywając umysł szlachcica. Czuł, że jeżeli sytuacja potrwa jeszcze dłużej, głowa eksploduje mu i wyzionie ducha.

Z wielkimi problemami stanął na nogi, podszedł do trumny. Naczynie z wodą święconą postawił na jej środku, kredy użył do narysowania okręgu wewnątrz którego znalazła się trumna. Następnie namalował

kredą na drzwiach krzyż. W jednej sekundzie drzwi przybrały kolor niebieski, istoty zaczęły przeklinać widząc zaistniałą sytuację. Tadeusz postanowił narysować krzyże w odległości dwumetrowej, na wszystkich ścianach pokoju. Całe pomieszczenie stało się błękitne, kolor wpłynął kojąco na nerwy Tadeusza. Poczuł błogi spokój. W związku z zaistniałą sytuacją, czarty nie czekając zbyt długo, przystąpiły do ataku. Próby wyważenia drzwi, kończyły się na głośnych przekleństwach i nieludzkim wyciu, spowodowanych bólem jakie istoty doznawały podczas ich szturmu. Próby powtarzały się kilkunastokrotnie. W końcu postanowili wedrzeć się do chałupy przez dach, co mogłoby się udać, gdyby nie upływający czas, który działał na ich niekorzyść. Zaczynało świtać.

Belki podtrzymujące dach nie sprawiły większych problemów nocnym postaciom. Jedna z belek spadając uderzyła Tadeusza w głowę, poczuł mocny ból, widział czarne postaci jakie miewał nieraz w najczarniejszych snach. Pół zwierzęta, pół ludzie, twarze sprawiały wrażenie płonących. Ciała zniekształcone, zdeformowane w przerażający sposób. Niektórzy z nich poruszali się podobnie jak ludzie, inni pełzali. W oddali było słychać pianie koguta.

- Uwolnijcie naszego brata a tego człowieka zabieramy ze sobą, tylko spieszcie się – krzyczała postać przed którą Witkowski uciekał.

Słysząc te słowa nasz dzielny szlachetka osunął się na ziemię i poczuł duży spokój.

Obudziły go jakieś głosy dochodzące z zewnątrz, było jasno. Powoli podszedł do drzwi, odryglował je i wyszedł na zewnątrz. Ujrzał ludzi, którzy prawdopodobnie przybyli zabrać nieboszczyka, jednak widok naszego bohatera stojącego w drzwiach chaty, tak bardzo przeraził ich, iż jak jeden mąż rzucili się do ucieczki!

Witkowski spojrzał się na nich z politowaniem i ze znanym jedynie sobie poczuciem humoru powiedział.

- Przede mną uciekacie a tego jegomościa wewnątrz przyszliście witać! - krzyknął.

Niech to szlag pomyślał, czas na mnie, już i tak za długo tutaj zabawiłem. Rozejrzał się dookoła, licząc że może wypatrzy swojego rumaka. Zastanawiał się co za jegomość spoczywa w trumnie, jednak po namyśle postanowił ciekawość odłożyć na bok. Jak w najbliższej karczmie nie wypiję garnka miodu, to chyba skonam! - krzyknął.

Poprawił szable noszoną z boku i ruszył przed siebie.

Ruben

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Ruben9, dodano 13.12.2021 16:03

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.